NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA № 5
TEL. № 226-83.

№ 3
WARSZAWA
DNIA 7 STYCZNIA 1912 R.

3)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna na tle epoki napoleońskiej, przez Wacława Gąsiorowskiego.

Z uczuciem rezygnacji, ulgi nawet przestąpił wrota klasztoru Bazyljanów, kędy pędzono francuskich jeńców. Za wrotami temi atoli czekała go otchłań, sroższa od przebytej.

Dziedzińce, izby, strychy i piwnice klasztorne zalegało już kilkotysiączne mrowie nędzarzów zgłodniałych, trawionych chorobami, cuchnących ranami, żartych przez



Do powieści „Wojna narodów". **St. Bagieński.**

Podporucznik zsunął się z woza i pomknął w bok, między krze i zagajniki.

plugastwo, nędzarzów półszalonych, półzastygłych.

Wilno było opustoszałe, zniszczone rabunkiem, nie posiadało zadość żywności nawet dla nadchodzących pułków rosyjskich, nie mogło myśleć o ratowaniu rannych, chorych i przemarzłych żołnierzów Płatowa i Kutuzowa. A dopieroż miałoby pamiętać o dwudziestotysięcznym tłumie Francuzów, dopieroż miałoby troszczyć się o sprawców klęski. Zresztą zamęt był jeszcze i zgiełk pobitewny. Stronnicy napoleońskich rządów w stolicy Litwy musieli myśleć o własnem niebezpieczeństwie. Uczucia ludzkie głuchły wobec braku chleba, odzieży, ciepłych kątów, medyków, grabarzów bodaj, wobec niepodobieństwa pomocy.

Więc pierwszą i jedyną troską Płatowa było spędzać na jedno miejsce niewolnika i staczać mrowie bagnetami, aby nie siało zarazy, aby nie kąsało, aby się nie rozłaziło.

Jednem z takich miejsc był klasztor Bazyljanów, do którego wtrącono pana Tomasza.

Przez tydzień podporucznik trwał pośród najstraszniejszej rozpaczy trzytysiącznego tłumu. Przez tydzień walczył z innymi o ochłap surowego ścierwa końskiego, które rzucano uwięzionym, przez tydzień poglądał na okropności, na które jeno obłąkanie zdobyć się może. Trupów z godziny na godzinę przybywało i przybywało trupów z objedzonemi policzkami, z wyżartemi ramionami... Między gromadami silniejszych, nie powalonych gorączką, wynikały coraz częstsze szamotania... Szamotania beznadziejne, bo poczęte z posądzenia, że ten lub ów kryje w łachmanach okruch suchara...

Aż po tygodniu do klasztoru wkroczył oddział wojska i jął zgarniać trupy na dziedziniec, zaczem układać je na wozy i wyprawiać je na pole za Śnipiszkami, kędy na przemarzłe ciała czekał stos drzewa i gotowe do podpalenia żagwie.

Wówczas panu Tomaszowi przyszła myśl ucieczki, myśl szalona, bo nie bacząca na to, że właśnie uprzątanie trupów zapowiada początek uwagi na cierpienia jeńców.

Podporucznik nie miał sił na zastanowienie. Wysiłkiem ostatka woli rzucił się między trupy. Grabarze nie szukali życia śród śmierci. Pana Tomasza rzucono na wóz.

Trupów nie konwojowano. Podporucznik, który na szczęście na wierzchu ponurego ładunku leżał — tuż za miastem zsunął się z woza i pomknął w bok, między krze zagajnika.

Rechot koniuchów był mu jedynym pościgiem. Nikt się nie frasował ucieczką nieboszczyka. Dowolna ich było.

Do zmierzchu przeleżał pan Tomasz w krzakach. Gdy się zciemniło ruszył przed się, orjentując się ku zachodowi a omijając zdala wszelki ślad życia ludzkiego.

Podporucznik, dla wycieńczenia i okaleczonej nogi, mógł posuwać się bardzo opieszale, — lecz nie ustawał. Wolny przestwór, powietrze czyste, nie zakażone trupim zaduchem orzeźwiło go, wspomnienie strasznego klasztoru dodało wytrwałości. Do świtu prawie wlókł się pan Tomasz — a o świcie zaszył się w zaspę śnieżną i, żując mech, pod śniegiem rosnący, przetrzymał do następnej nocy.

Lecz ów wypoczynek w zaspie, miast wzmocnić pana Tomasza, osłabił, wyczerpał. Podporucznik dźwignął się wprawdzie, ale już ledwie że nogami włóczył. Senność plątała mu kroki, puchowe zawały śnieżne nęciły. Stracił kierunek drogi — szedł niby, szedł, bo czuł, że jeżeli zamknie powieki, to już ich nie rozewrze.

Naraz przeciągły, stłumiony ryk rozległ się w pobliżu pana Tomasza.

Podporucznik spojrzał z wysiłkiem przed się. O kilkanaście kroków rysowały się przed nim cienie zabudowań.

Ryk znów się ozwał.

Panu Tomaszowi w umyśle pojaśniało. Tak, była to niezawodnie krowa!

Podporucznikowi w szczękach zachrzęściało. Nie ważył, nie zastanawiał się, jeno ruszył za instynktem, za zewem, wiodącym drapieżnika. Dopadł stojącej obórki, odsunął zaworę i przypadł do wymienia zwierzęcia.

Dopiero kiedy strumień krzepiący, ciepłego mleka rozgrzał spieczone, zeschłe gardło pana Tomasza, — ten nieco świadomiej tchnął. Ale nie wstał, jeno pił na umór aż do przesytu.

Zwierzę ani zdziwiło się inowacji, ani zaniepokoiło. Wykręcało łeb, niby chcąc bliżej się owemu stołownikowi niespodziewanemu przyjrzeć, lecz nie objawiało inwidji. (d. c. n.)



Janina Bobińska-Brzezińska. (T. Z. S. P.) WIECZÓR.

WIKTOR GOMULICKI.

Walc nocnych mgieł.

Nie będzie to żartem ani paradoksem, gdy powiem że Betowen, Szopen i inni gienjusze muzyki „przetransponowali“ kobietę na tony — poprostu mówiąc: wygrali ją. I znów: my, słuchacze, przy najwznioślejszej nawet muzyce, myślimy najczęściej o kobiecie.

Oni szukali w kobiecie pieśni swych; my w ich pieśniach znajdujemy kobietę.

Odkąd przekonałem się, że moja tęsknota, którą przez czas długi ubierałem w ciało kobiety, nie da się wyrzeźbić ani wymalować, szukam wcielenia jej poza kobietą. Szukam w ciszy i w zgiełku, w pogodzie i w burzy, przy słońcu i przy księżycu. Zdaje mi się, że moja kobieta rozsypała się miljonem iskier złocistych. rozprysnęła na miljon tęczowych kropel, roztopiła w świetle, rozpłynęła w mroku. I znów gonię za moją kobietą po całej ziemi, po świecie jawy i marzenia — poleciałbym jej śladami do nieba, zestąpiłbym do piekieł. A gdy mówię o mojej kobiecie, na myśli mam tylko—moją tęsknotę.

I stąd to właśnie poszło, że nabłądziwszy się dosyta po wielkich stolicach, między tłumami napół obłąkanych ludzi, po puszczach prastarych, wśród spokojnych, przeznaczenia swego świadomych, zwierząt, po górach srebrnemi kaskadami grzmiących, i po łąkach, kanwom, w kwiaty haftowanym, podobnych — zbrzydziłem sobie nagle to wszystko, i zapragnąłem widoku jesiennego, rozkołysanego, zapienionego morza...

— — — — — — — — — —

Ogromna cisza odrętwiała ulice, gdym nazajutrz rano, po twardym śnie bez marzeń, na miasto wyszedł. Przyroda, jak obłąkaniec po napadzie furji, leżała bez ruchu, napół nieprzytomna, milcząc, prawie nie oddychając. Blade słońce lękliwie pełzło po niebie, przez mgły szare zmatowanem. Z drzew na placach spadały bez szmeru umarłe, przedwcześnie pordzewiałe liście. Na marmurowym talerzu fontanny przysiadło gołębi kilka, lecz ani wody nie piły, ani nie gruchały. Wszystko wydawało się oszołomione, nieśmiałe, niewiedzące czy radować się, czy smucić...

Nagle, w kilku punktach długiej, w łuk wygiętej, przywiędłymi kasztanami wysadzonej ulicy, pojawili się chłopcy z drukowanymi w ręku świstkami. Otoczyły ich zaraz gromadki przechodniów. Ci, co do świstków dotarli, okazywali niepokój. Niepokój udzielał się innym. Wkrótce, rozchodzący się rozkładali żywo ręce, twarzą i ruchami wyrażali wzruszenie. Ale to wszystko było ciche i również jakby zalęknione...

Dostałem jeden ze świstków. Na szarym, gazetowym papierze, czerniły się (dla mnie, a dla innych, krwawo może płonęły) telegramy, donoszące o rozbiciu się minionej nocy okrętów, o zaginionej flotyli łodzi rybackich—o zatopionych wioskach, wywróconych domach i kościołach...

Tymczasem słońce wyzwoliło się z pod uroku, odzyskując śmiałość, królewskiemu majestatowi właściwą. Złote groty przebiły i na strzępy podarły mgłę szarą, iglice wysokich, gotyckich wieżyc stanęły w ogniu; fala miłego, dobroczynnego ciepła po chodnikach się rozlała.

Wciąż jednak trwała cisza—cisza dwuznaczna, drażniąca, w której był i żal za utopionymi i wstyd, że słońce swą obojętną królewskością tak bezlitośnie ludzkiemu nieszczęściu urąga.

A w tej chwili rozpłakał się w chmurach zegarowy kurant...

Dreszcz, który przebiegł mi po krzyżu,

włosy jeżąc na głowie, okazał, że stała się rzecz wielka. Dźwięki, z ledwie widnego szczytu w zamęt ziemski rzucone, uspokoiły go i wyrównały. Znów życie zabrzmiało akordem, głęboko smutnym choć pięknym— lecz znów też przyczajony w mem sercu gad tęsknoty kąsać je zaczął...

— Och, kobieto!.. *moja* kobieto!.. — jęczałem w sobie — jak ty mi jesteś razem: bliska i daleka! Słyszę cię w tych drżących tonach, które mi głęboko w duszę zapadają; widzę cię w złotych smugach słońca, które ziemię z niebem żenią; czuję cię w tej walce rozpacznej radości ze smutkiem, dnia z nocą, bytu ze śmiercią, która życiem się zwie... Ale jak świetlany motyl ognika, pląsający po cmentarzysku, mniej widna mi jesteś w świetle, niż w mroku. I jak ów motyl płochliwy, ani pochwycić się nie dajesz, ani nawet wzrokiem dokładnie ogarnąć. Z kwiatu na kwiat—raczej: z grobu na grób przemykasz niewyraźna, ponętna, drażniąca, czasem aniołom, czasem szatanowi podobna...

Zamarły dzwonki, przybladło słońce, poszarzał błękit — i znów ślad twój straciłem.

— — — — — — — — — — —

Dopiero jutro odwiedzę morze. Dla duszy mojej te odwiedziny to razem msza i schadzka miłosna. Idąc na nie, „wyświątecznionym“ być muszę.

Dziś, chodzę po mieście i przyglądam się kobietom. Jest to podobno główne zajęcie podobnych mnie — oile nie patrzymy na obrazy, posągi, taniec chmur na niebie, grę barw na ziemi, lub nie zatapiamy wzroku we własnej duszy otchłaniach.

Niegdyś oddawałem się temu zajęciu instynktownie; później z rozmysłem; dziś przyglądam się kobietom z nałogu i z tęsknoty. Tęsknota przegryza mi serce, jak rdza. Tęsknię dniem i nocą, w tłumie i samotności — tęsknię do widziadła, do snu, do cienia, do ognika błędnego, do — mojej kobiety...

Nie jestem przytem kochliwy. Byłem taki dawniej — dopókim wierzył, że pewna barwa włosów i oczów, pewien zarys czoła i nosa, pewien układ warg, linja podbródka, łuk brwi, rozwartość kąta twarzowego są znakami widomymi, po których poznawać się daje — ona.

Razem z tą wiarą, pozbyłem się złudzenia, że pierwszy lepszy, pospolity duch, w ładnem ciele zamknięty, może wyobrażać coś boskiego. Uważam bowiem za rzecz najzupełniej pewną, że ta, której szukam jest— bóstwem.

Naogół, prawie wszystkie tak zwane „ładne kobiety“ odznaczają się brzydotą. Błogosławieni, którzy patrzą na nie oczyma samców, Romeów, płazów, niedorostków i lirycznych poetów. W świetle rzeczywistem — *dans leur laideur naturelle,* — widzi je tylko: lekarz i — artysta-plastyk. Od rzeźbiarza szczęśliwszy malarz, bo mu często barwa, cień, półcień, refleks zasłaniają prawdę kolorowym majakiem. (d. c. n.)

POCAŁUNEK.

I.

Było to o tej porze, kiedy lato kona:
Na murze się zwieszały źrałe, winne grona.

Pod lekkiem wiatru tchnieniem, zabłąkane liście,
Padały w wodę źródła, co szlocha wieczyście.

I niktby nie przeczuwał, że słońce zachodzi,
Gdyby las, pośród ciszy nie oddychał słodziej.

Zmilkły kroki kochanków, idących w zadumie,
Zamyślonych o złotym gwiazd iskrzących tłumie.

Usta ust w cieniu izby bardziej są spragnione,
Gdy szary wieczór kładzie na twarz—swą zasłonę.

Trudy dnia już skończone, robota gotowa,
Ziemia, nim ciężko uśnie, szepce modlitw słowa.

Niby pszczół w złotym ulu gromada pierzchliwa,
Samotny się w oddali głos dzwonu odzywa.

II.

Gdy po raz pierwszy cudne ujrzałaś te strony,
Był wieczór, słońc pożarem, złoty i czerwony.

Zwalniając w ciszy kroku, i nie mówiąc słowa,
Szliśmy ścieżką, co w leśną gęstwinę się chowa.

I czuliśmy oboje — o słodkie omdlenie!
Jedną, jedyną żądzę: by trwało milczenie.

Gdy nagle, wznosząc ręce w zachwycenia [dreszczu,
Stanęłaś cała w włosów rozsypanych deszczu.

I zerwałem, choć opór był dziki i długi,
Pachnącą ust twych różę po przez włosów smugi..

A wtedy, podczas śmiechów i dziewczęcej psoty,
Zdało mi się, żem słońca całował blask złoty,

Bo płonął krwawy zachód po przez włosów pęki,
Jak miasto zapalone z barbarzyńca ręki!

Stuart Merril.

(tłom. **Zuzanna Rabska**).



Wojciech Kossak. (Tow. Z. S. P.) **Portret p. K.**

ZEMSTA.



Zofja otrzymała list anonimowy:

„Jeżeli chce się pani przekonać — pisała „Nieznana przyjaciółka“ — że mąż panią zdradza, to proszę jutro o siódmej wieczorem być na ulicy Królewskiej. Mąż pani wejdzie w towarzystwie młodej kobiety do domu, gdzie są pokoje umeblowane. Nic łatwiejszego, jak sprawdzić słuszność tego, co piszę“.

Upuściła list na kolana.

Gwałtowne rumieńce wyszły na jej twarz, zajęły zwolna czoło, szyję, sięgnęły do ramion.

Przez kilka chwil siedziała oszołomiona. Nie myślała o niczem. W głowie miała zamęt, jakby po uderzeniu.

Uwierzyła odrazu, że nieznajoma pisała prawdę.

— Zdradza mnie! — szepnęła żałośnie. — Boże mój, Boże...

Coś nowego, gwałtownie brutalnego wtargnęło do jej życia... A była dotąd tak szczęśliwa!

Podniosła złowrogi list i przeczytała raz jeszcze.

— Tak, tak... Ostatnia nadzieja zagasła. Pierzchnął jej radosny spokój!

Zamknęła się w pokoju i położyła na otomanie. Potrzebowała odpoczynku, poduszki, aby oprzeć czoło.

Objęła głowę rękami, aby nie widzieć nic. Z rozkosznym bólem pogrążała się w rozdzierającą gorycz myśli: „Zdradza mnie! Za co? Za co?

Była przecie tak piękna i tak dobra! Miłość męża była koroną jej szczęścia. I oto odrzucił ją...

Odrzucił jej drżące czerwone serce, bijące nawet we snach dla niego, i poszedł z inną.

Widziała szeroką drogę, po której mąż jej szedł z nieznajomą.

Drzewa szemrały cicho na wietrze, wysokie topole włoskie, a oni dwoje odchodzili gdzieś daleko, daleko... nazawsze.

Oderwała ręce od twarzy i gwałtownie zbliżyła się do zwierciadła.

Patrzyła na siebie źrenicami pełnemi dumy i smutku, z twarzą wstrząsaną kurczowym dreszczem.

Widziała oczy promienne jak djamenty, usta o delikatnych kątach, białą wysmukłą szyję.

Przypatrywała się swym rękom o wysmukłych pięknie zakończonych palcach, rękom pięknym i delikatnym, jak kwiaty!

Z oczyma dumnemi od piękności swojej i wilgotnemi od łez, powtarzała drżącemi wargami:

— Za co? Za co?

Położyła się do łóżka i zgasiła świecę. Pragnęła teraz nie widzieć już nigdy męża... umrzeć...

A kiedy przyszedł i nachylił się nad nią, rzekła głosem rozgrymaszonej dziewczynki, czyniąc gest obrony:

— Daj mi spokój! Głowa mnie boli...

— Jutro będę cały dzień bardzo smutna — pomyślała gorzko.

Zasnęła, kołysana cierpką myślą o nieszczęściu, które tak nagle spadło.

* * *

Na godzinę przed schadzką niewiernego była już na ulicy Królewskiej.

Zaszła do kawiarni, kazała sobie podać czarnej kawy i tygodniki.

Ale nie mogła czytać.

Litery zlewały się przed jej oczyma w jedną cienką długą linję, biegnącą gdzieś w przestrzeń bez końca.

Siedziała, czekając gorączkowo. Bała się, że oni nie przyjdą, choć chciała, żeby nie przyszli.

Ujrzała go wreszcie zdaleka. Szedł lekkim krokiem wesołego mężczyzny, pochylając się ku kobiecie.

Była to kobieta trzydziestoletnia, wyniosła i okazała, jedna z tych, które przez życie idą w ciągłym tryumfie. Kwiaty i słońce mają u stóp...

Przeszli tuż koło szyby kawiarni.

Nie widzieli nic... byli szczęśliwi! A Zofja pochłonęła wzrokiem twarz tamtej...

Oko nieznajomej przeszło jak gwiazda dumy i rozkazu. Paliło się ono szerokim, równym, zmysłowym ogniem.

W półzmrużeniu powiek czaiła się pieszczota, a z po za niej wychylała się ironja.

Aksamit pieszczoty i zimne migotliwe ostrze ironji... oto co mówiło oko nieznajomej.

W jej gardle drżał niecierpliwy krzyk zmysłów, gdy tymczasem usta uśmiechały się lekko i zdawały nucić:

Przyjdę jak ogień mocna i zwyciężę...

A on?

Jak on szedł przy niej! Gotów poświęcić się cały, rzucić pod jej stopy, dać podeptać... zmiażdżyć!

Zdawało się, że się boi zawadzić o jej cień.

— A... więc tak... — pomyślała Zofja. — On ją kocha... On potrzebuje przepychu, jaki wieje od jej ciała... przepychu królowej...

Ach, czemże go uleczyć mogła z tej żądzy? Czy błękitnemi oczyma dziecka, jakie mają aniołowie na obrazkach i paziowie w baśniach?

* * *

Mąż jej zapukał.

Miała zamiar nie otwierać mu wcale. Ale rozmyśliła się.

Wszedł do sypialni. W milczeniu pocałował ją w rękę. Usiadł przed kominkiem. Węgle żarzyły się jeszcze.

Lampa, zasłonięta abażurem, mżyła odrobiną światła.

Stanęła przed zwierciadłem i poczęła się rozbierać.

Ujrzała odbite w kryształach biały przepych bielizny i złotawy blask ciała w rozkwicie.

Przypatrywała się sobie z zadowoleniem i miłością. Echa słów pieszczotliwych brzmiały jej uchu.

— To dobrze—pomyślała—że on tu jest...

Przeszła koło niego blizko, pełna dumy i nieokreślonego marzenia.

Położyła się do łóżka, ręce splotła naokoło głowy.

Mąż zbliżył się. Zrobił giest, jakby chciał popieścić jej ramię,

Odsunęła się.

Zdziwił się!

— Co to?—rzekł.—Czy się gniewasz?

— Nie, ale nie myślę o tobie.

Spojrzał na nią. Miał zdumienie w oczach.

— Nie myślisz o mnie? Dlaczego?

Usiadła na łóżku. Zanurtowała w niej lodowata chęć zemsty.

— Nie o tobie myślę. Wiesz przecie, że kochałam już niegdyś. Mówiłam ci o tem...

— Nigdy.

— Nie?.. To dziwna. Zdawało mi się, że mówiłam ci już o tem nieraz. Kochałam innego...

Podparła głowę ręką i zapatrzyła się w kominek.

— Węgle gasną — rzekła — wyglądają jak róże wiednące... Kwitły róże, gdy go poznałam... Trzy lata temu. Chodziłam wtedy na lekcje muzyki...

Pewnego dnia ujrzałam jego spojrzenie... Tak nagle, gdym oderwała oczy od białych róż! Byłam zdziwiona... Poczułam, że on kocha mnie... Odtąd widywałam go ciągle.

Na ulicy szedł za mną o kilka kroków. Słyszałam go nieustannie za sobą.

Widywałam go na koncertach, balach, przechadzkach, w kościele. Modliłam się do Boga, a *on*—do mnie.

Wieczorem stawał pod mojem oknem, jak posąg milczenia. Kochałam go, kochałam. Dałabym mu wszystko, gdyby zażądał. Ale on był nieśmiały... tonął w marzeniach... Szłam za nim ze słodkim lękiem, bez szemrania.

Nie był piękny, był biedny, ale był mój... Jak dwa złączone cienie, szliśmy na spotkanie losu...

Czasem z za firanki patrzyłam na niego płonącemi oczyma.

Czy uwierzysz, że rozszerzonemi nozdrzami węszyłam go, jak wilczyca?

Ach, jakże pragnęłam mu się oddać!

Ale on... był nieśmiały. Czasem rzucił mi pod nogi różę, czasem ośmielił się sze-

pnąć, że mnie kocha... Uważał mnie za świętą...

I choć nocami całemi słyszałam jego zaklęcia, jak szmer liści na wysokich drzewach, nie chciałam burzyć jego... złudzeń.

Nieraz we śnie całowałam jego oczy i usta.

Nagle zniknął.

Szukałam go wszędzie, gdzie w chwilach szczęśliwych spotykaliśmy się, ale nie znalazłam.

Zniknął.

Godzinami całemi leżałam bez snu w swem białem, dziewiczem łóżku, marzyłam o nim i rozpaczałam.

Zaklinałam go, żeby wrócił, że oddam mu się, że nie chcę już więcej być świętą.

W cieniach nocy żarzyły się jego oczy, smutne i zmysłowe oczy biednego marzyciela...

Wyciągałam ręce...

Ach, nigdy nie byłam tak gorąca... wołałam go:

Chodź! chodź!..

Ale po za oknami była cicha, uroczysta noc.

Nie usłyszałam już jego kroków.

I gdy marzyłam o nim i tęskniłam, było zawsze tak cicho naokół... Uwierzyłam wreszcie, że nie bije już jego serce.

Co się z nim stało?

Może biedny szaleniec w zwątpieniu roztrzaskał sobie głowę.

Zamilkła.

Po chwili w pokoju zaszemrało ciche zaledwie dosłyszalne pytanie mężczyzny...

— Pytasz, czym i ciebie kochała? Tak, zapewne, ale inaczej... Ty byłeś *drugi...*

Tak jak jego, nie kochałam nikogo. Nigdy już kochać nie będę. To tylko raz w życiu się zdarza. Poeci mają słuszność: raz się tylko kocha.

— I nie wiesz jeszcze—dodała, wspierając się na ręku i patrząc na męża płonącemi chłodną rozkoszą oczyma — pierwszej naszej nocy poślubnej zamykałam oczy i marzyłam o nim.

* * *

I pogrążywszy głowę w poduszki, wybuchła łkaniem. Czuła cichą przenikliwą rozkosz zemsty i żal, gorzki dziecięcy żal, że ów nieznajomy był tylko mściwem zmyśleniem.

Leon Choromański.



Władysław Skoczylas. (Tow. Z. S. P.) **ZAKOPANE.**

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

3)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Jak grochy, sypały się łzy po policzkach.

Zmierzch już na dobre opadł na pierś ziemi, pożar chmur przygasł, w cieniach wieczoru zatopiło się widmo ogrodzienieckiego zamczyska. Podniósł się księżyc, czerwony, niby twarz pijaka — i powoli odrywał się od ziemi.

Chłopak zerwał się z pnia, na którym siedział — —

— Ojej!.. zagadało się — zawołał — a kucharze pewnikiem już perlice na rożny sadzają i oglądają się za mną. Żegnajcie mi nieznajomy a trochę już znajomy panie!..

To mówiąc, zaczął biedz szybko —

Podniósł się i rycerz —

— Słuchaj, chłopcze!.. — za uchodzącym zawołał — a którędy to droga do Smolenia?

— Sto kroków idźcie prosto—hen... tak!

a później sto kroków na lewo. Trzymajcie się jeno skał i głazów, jakie wam pokazywać się zaczną, po prawicy zawsze, a już sam zawiśnie nad wami, w przepaść patrzący, zamek smoleński.

Zbiegł szybko ku równinie i w mgłach się rozwiał.

Rycerz przez czas pewien patrzył za uchodzącym a miał uczucie, jakby go nawiedziły mary senne. Spotkanie onego chłopięcia, słowa, jakie zasłyszał i sposób ich wypowiadania, olbrzymie widmo zamku w krwawiźnie zachodu — to wszystko wydało mu się zjawiskiem niezwykłem, majaczeniem zmysłów, oszukaństwem słuchu i wzroku.

To chłopię odgadło więcej, niż on powiedział.

II.

Łatwo może było trafić do Smolenia, ale wydobyć się z przepaści, ponad którą zwisało orle gniazdo pana Nikodema, i dostać się do wrót gdzieś ukrytych, mógł tylko człowiek dobrze z miejscowością tą obeznany i znający tajemnicze wejścia i wyjścia, szukający zresztą gościny lub przytułku nie w nocy ale w dzień biały. Prawda, że księżyc wysadził się już był wysoko na niebo i blaskiem pełnym osrebrzył wszystkie zakątki lasu i skalnych rozpadlin — ale jednocześnie cienie pogłębił, tajemniczością owiał załomy wszystkie i przepaście, głazom i skałom nadał kształty potworów, siedzących cicho a groźnie, czyhających na śmiałka w królestwo ich wchodzącego. Blask miesięczny, łamiąc i wykrzywiając te cienie, nieraz wzrok łudził, niby szalbierz wierutny: pokazywał otchłanie tam, gdzie ich nie było, na ścieżce uczęszczanej nieprzebyte zapory stawiał z kosmykiem traw rozczochranych, nadając im wygląd larw albo wiedźm łysogórskich.

Nieznajomy rycerz, choć trzymał się wskazówek, danych mu przez napotkane w lesie pacholę, zwątpił już był o możności dostania się do zamku pana Smoleńskiego, raz nawet w taki labirynt skał się zaplątał, że niepodobieństwem mu się wydało, by mogła tu być jaka siedziba ludzka. Ale oto jakieś gwary i głosy zmieszane, ludzkie i nie ludzkie. Bo psi skowyt, rżenie ogierów, parskanie nozdrzy, łomot kopyt, szczęk mieczów, wrzaski i krzyki i jakiś lament jękiem bolesnym a jednostajnym, rozdzierający powietrze, — to wszystko mieszało się razem, kotłowało, przewalało się i czyniło wrażenie jakiegoś przedpiekla i grozą napełniało zabłąkanych w onej puszczy wędrowców.

Młody rycerz nie zastrachał się jednak. Przeciwnie, z jakąś otuchą spojrzał przed siebie. To, co słyszał, do zrozumienia mu dało, że się znajduje gdzieś w pobliżu jaskini „starego wilka,“ który snadź do dom z ponocnej jakiejś wyprawy wracał. Nie patrzył już tedy na oświetlające mu drogę promienie księżyca, jeno kierował się na te głosy, na ten gwar, przez oddalenie stłumiony, który potężniał, rósł, aż stał się tak wyraźny, że każdy psa skowyt, każde chrapnięcie nozdrzy końskich, niemal wyraz każdy, w powietrze rzucony, ucho w całości chwytało — i — byłoby wszystko zrozumiałe, gdyby nie ten jęk jednostajny i jednotonny, który z pośród chaosu dźwięków innych, właściwych zresztą każdej rycerskiej wyprawie, nie wylatał z takim lamentem okrutnym i najsilniejszymi nerwami nie targał.

W kotlinie, nad którą zwisał, niby gniazdo orle, do skał przyczepione, zamek smoleński, a oświetlonej pochodniami smolnemi, z któremi tu i tam uwijali się pajucy dworscy — wrzało jak w garnku. Kilkudziesięciu jeźdźców zbrojnych, jednocześnie trzymających na smyczy psy i ludzi jakichś, których ręce skrępowane były z tyłu powrozami — darło się na głos, drogę sobie wśród ciżby na górę zamkową torując. Jedni śmieli się i gaworzyli wesoło, snadź o wyprawie udałej; inni ziewali głośno i wyciągali członki znużone albo pociągali za palce aż w stawach trzaskały, ci wyśpiewywali piosnki jakieś wyuzdane a inni klęli i w mać tatarską łajali. Psy ujadały, źrebce gryzły się, a tłum pachołków uderzał siekierami w wozy ładowne, rozbijał koła, druzgotał osie, z wnętrza zaś wydobywał całe postawy płócien i sukien, wielkie zwoje jedwabiu i hatłasu, skóry zacnie wyprawne i szuby drogie, a człek jakiś, w stroju błazeńskim, siedział na gałęzi gruszy dzikiej, nad studnią rosnącej i głowę w obie dłonie ujàwszy, kołysał się w lewo to wprawo, zawodząc:

— Ajjj-wajjj!..

Wołanie ono, jakiem nieszczęściu ludzkiemu przedrzeźniał, rozchodziło się długim lamentem po lesie i do szalonego śmiechu pobudzało tłum bezecny.

Nie trudno było odgadnąć młodemu panu, że „stary wilk“ napadł gdzieś na wozy

kupieckie i złupił. Praktykowało się to w ziemiach niemieckich, ale w Polsce wyjątkiem było, tak, że ludzie zagraniczni chwalili we wspominkach swoich oną zacność mieszkańców ziemi piastowskiej. Ograbionymi byli żydzi, których przytroczono do siodeł libo na sfory pobrano i wraz z psami gnano do zamku na uciechę wyuzdanego tłumu, a głupi błazen niedoli tej urągał, siedział na gruszy studziennej i zawodził długim, przeciągłym lamentem:

— Ajjj-wajjj!..

Wtem gałąź pękła i bezecnik runął w głąb' studni.

Tłum ryknął śmiechem.

Spuszczono wiadra i ciężko potłuczonego wydobyto z głębiny stułokciowej.

— A—podłe żydy!..— wyjęczał.— Eunuchów z nich porobię, jakiem syn swojej macierzy, bom oćca nie jestem pewien!.. — zaklął...

Znowu ryk śmiechu — —

Słyszał to rycerz nieznajomy i mruknął przez zęby:

— Podlec!..

Wcisnął się w tłum, pchający się do wrót zamkowych a że strojem nie odróżniał się nic prawie od drużyny „starego wilka,“— (bo każdy z onej hałastry miał miecz przy boku, nóż za pasem, topór pod nogą i wilczurę na plecach)—niczyjej więc uwagi zrazu nie zwrócił i wtłoczył się wraz ze wszystkimi do wnętrza zacieśnionego dziedzińca, dziwiąc się trochę, że wódz onej zgrai, który na czele jechał, poprzedzony przez karła, niemiłosiernie w bęben walącego, cale nie był podobny do rysopisu pana na Smoleniu, podanego mu przez ono pacholę leśne. Z praskiem a trzaskiem zwalili się tedy przed stopnie głównego wejścia i wnet z kulbak zeskoczywszy, a psy i żydy, nadbiegającym pachołkom, oddawszy — wparli się hurmem do izby biesiadnej — i — jednym, wielkim ryknęli śmiechem.

Na stole dymiły misy, ostra woń czosnku rozchodziła się po izbie. Nad jedną z mis tych, tylnemi łapami o ławę a przedniemi o kraj stołu wsparty, z ukontentowania szybko poruszający ogonem puszystym— stał pies rudy, wzrostem półrocznemu cielakowi dorównywający — i pięknym, czerwonym ozorem badał zawartość onej misy. Ale, co łeb pochyli, to war parą gorącą w pysk go uderzy i w ślepie dmuchnie, tak, że cofnąć się wnet musi od onych delicji zakazanych, jeno łapą nad misą powieje, odgarniając dymiącą przeszkodę—i znów łeb wtyka a ozorem śmiga z nie lepszym od poprzednich prób skutkiem. To było przyczyną homerycznego śmiechu, jakim rozległa się izba biesiadna.



Do powieści „Stare lwy“. **Antoni Gawiński.**

... kilkudziesięciu jeźdźców zbrojnych, jednocześnie trzymało na smyczy psy i ludzi jakichś.

Gdy wszyscy już się wtłoczyli do przyciasnej trochę komnaty, przywódca bandy, rzuciwszy okiem po zgromadzeniu, dostrzegł, ze zdziwieniem niemałem, nieznajomego sobie rycerza. Jak się okazało „stary wilk“ nie przewodniczył wyprawie. Oko oślepłe ni kula u nogi nie przeszkadzały mu dosiadać rumaka i na rozboje groźne zastępy prowadzić — ale tym razem strzyknęło coś mu w krzyżach i rad nie rad musiał na swoim Smoleniu pozostać a panu Bonawenturze Kukułce powierzyć los wyprawy.

Nie trudno się domyśleć, że nazwa „Kukułki“ przydomkiem tylko była nie rodowem nazwiskiem pana Bonawentury, który Zarańcem się nazywał. Że chwalić się lubił, iż żadna niewiasta jeszcze mu się nie oparła, a na pytanie: „dlaczego dotąd nie pojął żadnej,“ odpowiedział: iż szlachetne nasienie swoje po całym świecie rozrzuciwszy, czego w świętym stanie małżeńskim nie godziłoby się czynić — „Kukułką“ go nazwano, jako, że jak ona, pisklęta swoje na łasce gniazd obcych zostawiał. Co prawda, nie bardzo wierzono tej przechwałce pana Bonawentury, bo cale na Adonisa nie wyglądał.

Leciwy to już był człek a tuszy potężnej. Fizjonomję okrągłą miał, niczem dynia, na śmieciu wyrośnięta, a zrysowaną, jak misa, na której od częstego użycia polewa popęka i brudem zajdzie. Pod krótkim a zadartym nosem sterczały szczecinowate wąsy, niby dwie miotły, potargane od starości; wargi tłuste i obwisłe pokazywały zębiska żółte lecz silne; oczy wybałuszone, podobne były do cebuli hiszpańskiej, kark gruby, jeże na głowie, słoniowe stopy i łapy niedźwiedzie miał. Bez prób żadnych widziałeś od razu, że człek to był mocy ogromnej, któremu i z dzikim buhajem poborykać się — nie fatyga.

(d. c. n,)

AFORYZM.

Na widok opuszczonego starca, anioł litości nad złemi sercami ludzkiemi płacze; na widok zaniedbanego dziecka, anioł zemsty przyszłości ludzkiej grozi.

Eliza Orzeszkowa.

Otto Juljusz Bierbaum.

(Dokończenie).

tak łatwiej pływać po powierzchni kształtów, dawać ich plastykę i lekko pokpiwać z nich, niż pytać o przyczyny ich powstania, chcieć wolą swoją zdobyć się na zrozumienie przyczyn i obalenie ich, by chcieć przyczynić się do tworzenia pozytywnej moralności nowego człowieka. Czasami odezwie się serdeczny krzyk duszy niemieckiej, lecz skona w oszalałej strofie „Zarathustry“. Hauptmann zaszarpie trzewiami swoich współziomków, lecz niezadługo uspokoi się, by w czystości linji odnaleźć spokój wewnętrzny (Der narr in christo). Bierbaum zaś apriori odżegna się od tych zadań, śmiechem odpowie na wszystkie pytania współczesne. Niech niemiecki „bierfeier“ święci swoje saturnalje! Pesymizm wraz z wygodą, a właściwie pesymizm jako maska broniąca — nastąpi odpowiedź, czemu Bierbaum śmieje się, weseli.

Raz zapytano Bierbauma czy nie uważa, że należy krytykę literacką, artystyczną, poddać kontroli, że należy postawić jej wymagania filozoficzne. I znów odpowiedział swoim śmiechem:

„Jest bardzo pożądane, by krytyka pozostała jaką była dotychczas. Gdyby zechciano zreformować, straciliby autorzy połowę rozkoszy...“ (Et ist durchaus wünschenswert, dass sie genau so bleibt, wie sie ist. Denn sie ist als Ganzes im höchsten Grade amusant. Mocniejsze miejsce z odp. Bierb. Kritik der kritik, 1905).

Wogóle zaś woli Bierbaum śpiewać:

Ach! mein Schatz ist durchgegangen
Laridah!

Coś „echt“ niemieckiego jest w tych jego „Laridah“ „beidideldumdei“, coś co się widzi na wiecach, w audytorjach, w „tanzbudach“. Wytworny śmiech wielkiego arystokraty Francji, Anatola France, to coś niewspółmiernego z „dowcipnem“ poklepywaniem po ramionach i brzuchu „Geldhaba“— Bierbauma. Cała różnica kultur odbija się tutaj konkretnie i wyraźnie. A może to tylko różne rodzaje indywidualności, a więc różne rodzaje ironji, śmiechu? A jednak... gdy w natłoczonej niemieckiej sali do tańca spocony kręci się tłum, gdy rytm ich ciał mówi o jakiemś gruboskórnem podłechtywaniu opiwionych nerwów, gdy widzi się te łby krzyżackie odpoczywające bez żenady po tańcu na piersiach swoich dam — tak jakoś nie można się odżegnać od refleksji, że to wszystko właśnie te Bierbaumowe „Laridah“, „Bumbarah“. Zjawi się niekiedy

srebrny, czysty anioł sentymentu, rozdzwoni mu struny w akordy cichej modlitwy lub tęsknoty, lecz i wtedy różni się to od naszej polskiej intymności uczucia. To nie Słowackiego delikatna apostrofa do fali, co złączyła usta ukochanych, to nie namiętny, szeroki, pogański kult miłości Tetmajera, lub biblijne symfonje refleksji Kasprowicza — u Bierbauma dźwięczą struny, jakgdyby przytłumione ciężkim oparem wyziewów wielkomiejskich, wyziewów kawiarnianych. A że piosenki jego są rytmiczne, zachęciły kilku kompozytorów do napisania muzyki. Ryszard Strauss, Maks Reger i inni obrabiali muzycznie jego swawolne tematy. Piosnka „Sommernacht“ („Letnia noc“) stała się nawet jakgdyby „Filonem“ współczesnym.

Jako dramaturg Bierbaum dał się poznać przez „Stella und Antonia“, „Stilpekomödien“, „Lobetanz“. Wszystkie te rzeczy miały na scenach niemieckich powodzenie, chociaż co do wartości ustępują pod wielu względami jego działalności powieściopisarskiej. Trzeba również dodać, że Bierbaum, był jednym z założycieli miesięcznika „Insel“ wydawał kosztowny, wysoce-artystyczny miesięcznik „Pan“ (wraz z Przybyszewskim, Dehmlem i t. p.). Dziś za komplet „Pan'a“ bibjofile płacą bajońskie sumy, a wtedy chociaż na listę prenumeratorów i mecenasów zapisało się aż trzech króli niemieckich, koniec końców musiano wydawnictwo zwinąć, gdyż nawet dla króli było za kosztowne, za artystyczne.

Bierbaum swoją literacką działalność rozpoczął studjami o Böcklinie, Lilienckronie, Stucku. Sławę przyniósł mu pierwszy zbiorek jego poezji „Spowiedź studenta“ (Studentenbeichten). Od tej pory sława jego z każdym dniem rośnie, kalembury jego wywołują śmiech w całych Niemczech. Zszedł do grobu w pełni powodzenia, stosunkowo młody, bo w 44 roku życia. I zdaje się, że dla wrogów, jak i przyjaciół jego było to przykrą niespodzianką, gdyż lubiano w Bierbaumie mimo wszystko to, co stanowi istotę każdego niemca: gemüthlichkeit, filisterski sybarytyzm jego „rewolucyjnych“ drwin.

Pracą swoją przyczynił się bezwątpienia do sławy Lilienckrona, pierwszym był bowiem, co odczuł w piosnkach byłego oficera pruskiego szczery kruszec niemieckiego sentymentu, szerzył kult piękna jak mógł i umiał i z prawdziwą fantazją sedańskiego „dorobkiewicza“, wydawał ociekające od bogactw „papieru i druku“ czasopisma.

W stosunku do jedynego czuwającego orła Hauptmanna, który wraz z pokoleniem swojem przeżywał dramat niemieckości z prometejskiej strony, Bierbaum był już tylko owym „przeciętnym“ Niemcem, który miast walczyć, wolał spokojnie, cierpliwie, pesymistycznie lub optymistycznie się śmiać, wolał maskę sybarytyzmu; wygody.

Wróg filisterji, „geheimratyzmu“, narodowego godła pantoflowego, zaasymilował się z swojem środowiskiem, dał nie jeden ciekawy przyczynek do psychologji tegoż środowiska. „Princ Kuckuck“ i „Stilpe“ dla przyszłych historyków mogą być drogowskazem, gdzie w czem, szukać należy niemieckiej mocy.

Bierbaum z szkołą Hofmannsthala i Georga nigdy nie pozostawał w wewnętrznym kontakcie. Czciciele starych kultów, bizantyjczycy, krzewiciele francuskiej rafinerji nie mogli przecież mieć nic wspólnego z typowym niemieckim wygodnisiem. Miast oglądać się na inne kultury, bronił kultury swojego „Michela“ i może w tym wypadku był bliższym rzeczywistości, niż wyrafinowani wykwintnisie. Przybyszewski przestał pisać po niemiecku i pozostał dalej konsekwentny w swojem dążeniu, czuwaniu nad czystością źródeł swojej sztuki, duszy, i jedyny Dehmel sztandar jego po dziś w Niemczech bohatersko dźwiga, reszta utonęła w zalewie mieszczańskim.

Bierbaum dla uważnego spostrzegacza zjawisk kulturalnych jest przykładem, jak można żyć i tworzyć, nie mając nic konkretnego w sensie moralnym do przeciwstawienia pokoleniu, a jednak spełniać swoje zadanie pisarskie. Jego „laridah“ „bumbarah“ kołysze karną głowę niemiecką do marzeń o panowaniu nad światem całym, brzmi nawet w ochrypniętem gardle niemieckiego socjalisty-agitora: Deutschland überalles!

Nigdzie bowiem, podobno, nie ukochano tak pielesz rodzinnych, jak twierdzi Sombart, powołując się na sądy całego świata, jak w Niemczech. Stąd to nawet socjalizm niemiecki jest „szowinistyczny“, stąd samozachowawczość woli przyśpiewywać „laridah“, niż iść na Golgotę prometejskiej walki o nowego, wolnego, odrodzonego człowieka.

Uważny czytelnik powinien nad takiem to właśnie zjawiskiem bacznie się zastanowić. Może nasunie się odpowiedź, której czekamy obecnie. Rozigrała się bowiem taka orgja nieporozumień, tak okłamują naszą duszę narodową, że trzeba, że mus nareszcie o wolności sumienia pomyśleć.

Eustachy Czekalski.

Niewyczerpana dyskusja.

Już od dwóch lat pisma polskie stale omawiają kwestję, tak zwanego, litwackiego najazdu i do dziś dnia głosy w tej sprawie nie milkną, co więcej, stają się coraz bardziej alarmujące, coraz wymowniejsze. Właściwie zagadnienie byłoby niezmiernie proste, gdyby ta



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

część żydów, która od wieków zamieszkuje ziemie polskie zdecydowała się na krok stanowczy wyodrębnienia swoich sympatji i interesów, lecz, niestety, więź rasowa przeważa szalę wszelkiego racjonalnego rozwiązania. Fakt ten musiał, bezwątpienia, obudzić opinję polską z optymistyczno-humanitarnej drzemki, postawił sprawę na porządek dzienny i do dziś dnia wywołuje ostre komentarze.

Dyskusja rozpoczęła się od chwili, gdy zjawili się współpracownicy jednego z pism żargonowych do Andrzeja Niemojewskiego i chcieli, by odpowiedział, co sądzi o sprawie żydowskiej. Niemojewski bezpośrednio nic nie odpowiedział, lecz dał wyraz swojej opinji w piśmie redagowanem przez siebie. Odpowiedź ta była powodem, a właściwie początkiem sławnej kampanji przeciwżydowskiej, która rozegrała się w roku zeszłym. Wyczekiwaliśmy ze strony polskich żydów, że zdobędą się na głosy solidarności z opinją polską, lecz zawiedliśmy się. Poszczególne jednostki odzywały się; były to jednak głosy Polaków—żydowskiego pochodzenia, które nie mogły być miarodajne dla naszej sprawy. Trzeba zaznaczyć przytem, że jednostki te, broniąc polskości, równocześnie wzdychały do... chederów, do kultury Betszamidraszu i małomiasteczkowych kacyków. W ten sposób prysnęło znów złudzenie asymilacji, o którem tak wiele rozprawiano i za pomocą którego starano się złagodzić zatarg. Groza sytuacji wypłynęła na forum naszego życia społecznego w całej pełni. Zaczęto się zastanawiać poważnie, czem są dla kraju naszego żydzi, jaką rolę odgrywają w naszem życiu zbiorowem. Krytyka, rewizja haseł pracy i współpracy stała się koniecznością. Starano się jednak przeszkodzić, sprowadzić z właściwych torów ten nurt uświadomienia zbiorowego. Robiono wszystko, by podkopać powagę racjonalności faktu, lecz, niestety, rewizję spowodowały widoczne, wszystkim wiadome zjawiska, a więc dyskusja z samorzutną siłą ogarnęła prawie wszystkie odłamy społeczeństwa. Wypowiedzieć swoje zdanie zmuszone były wszystkie stronnictwa, prawie wszyscy wybitniejsi publicyści i politycy zabierali w tej sprawie głos.

Profesor Krzywicki powstanie dyskusji przypisał szerzącej się reakcji. Odpowiedź była zbyt prostolinijna, by mogła zadowolić kogokolwiek. Kto widzi z dnia na dzień, przybywające



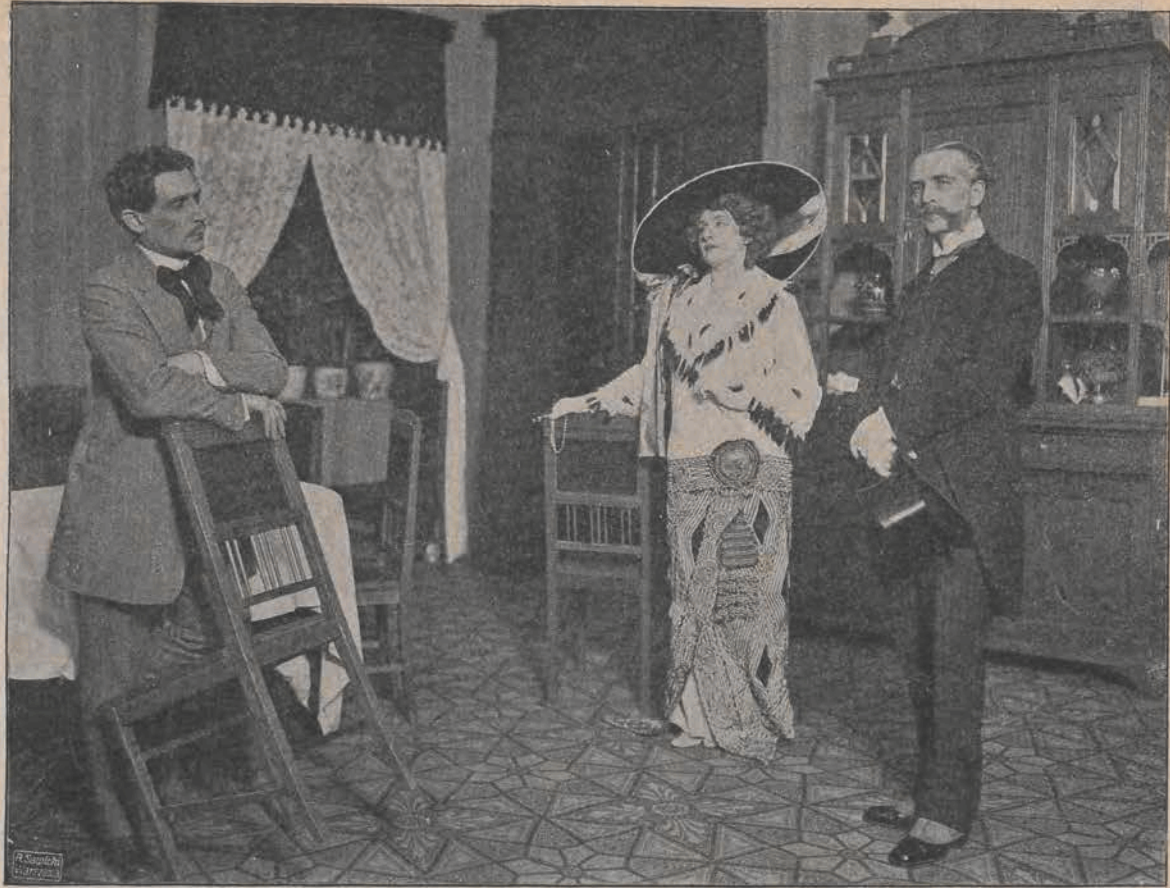
ZYGMUNT KRAMSZTYK.

z cesarstwa kupy litwactwa, wypierające z różnych gałęzi przemysłu naszych rzemieślników, ten odpowiedź taką weźmie za brak orjentacji w naszych stosunkach społecznych. Jeszcze przed kilkoma laty w Warszawie istniało kilkanaście fabryk i warsztatów kamaszniczych polskich, dziś cała ta gałąź wytwórczości jest w rękach żydowsko-hasydzko-litwackich. A proszę, wziąć krawiectwo! Hurtową wytwórczość obuwia! Zdaje się, że już to wystarcza, by szukać powodów protestu gdzieindziej niż w „reakcji.“ Zjawiska te musiały zrodzić zapytania, które chciały określić dokładnie znaczenie udziału żydów w naszem życiu zbiorowem.

Istniało u nas nieporozumienie, że żydzi w społeczeństwie są ekonomicznie postępową, ewolucyjną siłą. Dzięki temu przeświadczeniu, patrzyło się na wiele rzeczy przez palce, tolerowało się kulturalną wsteczność, obyczajową... przedhistoryczność. Lecz i to złudzenie prysnęło! Bezwątpienia, że żydowscy przedsiębiorcy na ziemiach polskich byli cennymi krzewicielami naszego przemysłu. Nie trzeba jednak utożsamiać jednostek ze zdolnościami i funkcjami ekonomicznemi masy. Żydzi, jako masa najchętniej trzymają się tych form przemysłu, które nazywamy drobną, chałupniczą, pośrednią produkcją, przez co przeszkadzają przemysłowi fabrycznemu. Co więcej, robotnik żyd u nas w Polsce, wcale nie jest owym proletarjuszem, par exellence, o jakim śnią międzynarodowcy. Nawet taki publicysta, jak Warski pisał, że żyd w polskim robotniku nie widzi uczciwego towarzysza pracy, lecz zawsze boczy się, jako przed „gojem“ każdym.

Stwierdzenie tych faktów wywołało otrzeźwienie w pewnych kołach... idealnie, sielankowo nastrojonych względem żydostwa.

Teraz jeszcze jedno pytanie: czy żydzi kulturalnie sprzyjają rozwojowi naszego społeczeństwa? Należy jednak znów wykluczyć jednostki, gdyż naprzykład zasług Szymona Askenazego lub Leona Zamenhofa nie można zapisywać na rachu-



Teatr Rozmaitości. „SĄD".

nek rabinistycznej działalności kahałów. Jednostki wychowane w naszej kulturze, oddają nauce i sztuce naszej usługi, lecz ciemna masa żydowska jako taka, czyni nam niepowetowane straty, co więcej, nie jest zdolną do przyjęcia żadnej kulturze sprzyjającej myśli. Skoro od 600 lat, żyjąc na ziemi naszej, nie umieli zaprotestować gromadnie przed litwackim najazdem, to już wystarcza, że są wpośród nas elementem nawskroś obcym. Pozatem przesądny chłop polski przyucza się do hygieny, umie jako masa najhumanitarniej patrzeć i współpracować w zadaniach zbiorowości, ale żydowstwo nie zdobędzie się nigdy na akt wyzwolin z interesów kahału.

Wprawdzie pan Kramsztyk woła o prawa do życia i dla nich, sądzę jednak, że to zbyteczne. Żydostwo w Polsce prawa zdobywa sobie swoim zorganizowanym kahałem, który od hasydów sięga aż po „zeuropeizowaną" żydowską inteligencję. Twierdzić zaś, że „prawa każdego człowieka nie powinny się opierać na dziedzictwie" bezwątpienia nie można. Nie wolno odmawiać nam praw do ziemi naszych dziadów i pradziadów. Rozumiemy, że samo dziedzictwo nie wystarcza, lecz przecież my dziedzictwo nasze przejęliśmy, jako żywi, współpracujący synowie rodzimej, naszej ziemi i dlatego wydziedziczyć się niepozwolimy. Niewolno opierać godności narodowej tylko na zasługach lub błędach jednego pokolenia. Godność narodowa—to historja całego narodu. Przeszłość, jak i przyszłość musi być jednaką pieczą naszych sumień i naszej myśli! I dlatego niech pan Kramsztyk propaguje swoje przeciwdziedziczne teorje w szeregach żydowstwa. My wiemy, gdzie nasze dziedzictwo, gdzie ziemia potem tysiącoleci przez nas zdobyta.

— — — — — — — — — —

Dyskusji artykułem tym nie zamykamy. Wiemy bowiem doskonale, że sprawa jeszcze długo nie zejdzie z porządku dziennego. Niewyczerpaną pozostanie dyskusja, dopokąd ogół nasz nie zrozumie całego ogromu niebezpieczeństwa, jakie mu grozi ze strony litwackiego najazdu, który falą zalewa nasz kraj, dążąc wciąż jak do ziemi obiecanej...

TEATR.

Czesław Halicz, a właściwie Czesława Rosenblattowa, jest współpracowniczką wszystkich prawie literackich czasopism. Z prac jej zawsze wyziera dużej miary kultura, czuje się, że autorka tworzy nietylko pod wpływem jakiegoś zewnętrznego impulsu. Możliwe, iż właśnie ten stosunek pisarki do swojej twórczości czyni zajmującem wszystko cokolwiek zjawi się z pod jej pióra, lecz w tym też leży słabość jej utworów. Pamiętamy studja „Czesława Halicza" o Meunierze, pamiętamy jej



BOLESŁAW GORCZYŃSKI.

nowele, nie zdziwiło więc nas, gdy dowiedzieliśmy się, że konkurs teatrów rządowych przyznał drugą nagrodę „Sądowi".

Podobno „Dzisiejsi" byli nieprzewidzianem nieporozumieniem. Premjera tej sztuki nie przyniosła nic nadto, co wszyscy wiedzieliśmy o talencie p. Stefana Kiedrzyńskiego. Natomiast 3-ia nagroda tego konkursu „Straceńcy" dorzuciła wiele ciekawych spostrzeżeń do psychologji twórczości Konczyńskiego. Sztuka ta jest z pomiędzy nagrodzonych bezwątpienia najwięcej dojrzałym utworem scenicznym, rozporządza największą znajomością warunków, aczkolwiek postawienie zagadnienia psychologicznego nie wychodzi poza ramy rozwiązania, obrabianego na scenie niejednokrotnie.

„Sąd" pani Rosenblattowej poza intellektualizmem w postawieniu problemu, rozbraja naiwnością, nieumiejętnością... sceniczną. Ciekawy jest tylko fakt, że pomimo wszystko utwór ten nie stacza się po pochyłości banalnego moralnego frazesu, nie rozśmiesza widza i umie utrzymać uwagę w napięciu. Inteligiencja pomogła tu wiele! Pomogła też wiara autorki w jasny, świetlany cud, co się powinien był stać na scenie. Pisała bowiem autorka swój „Sąd" by przyśpieszyć zjawienie się owego, upragnionego cudu. Jej protest i sąd nad społecznością, wyrzucającą poza swój nawias człowieka co zgrzeszył, odpokutował, a jednakże czuje zawsze, że zawinił, gdyż odpuszczenia całkowitego niema, wyradza się z wiary w przetwórczą moc człowieka. Zmieńcie tylko zwyczaje społeczne, sięgnijcie zuchwale ręką po prawa, a więcej nie będzie takich dramatów, więcej nie będzie przymusu dla Janów, by odjeżdżali z baronami Demlami targnąć się na godność, gdy nie można żyć godnie. Jednostka wplątana w wir... spokoju, w wir takich ludzi, jak czcigodny papa, zrzekający się wszystkiego, byle spokój mieć, musi iść mimo praw, gdyż musi w imię praw do życia, sięgnąć po sankcję, po rację dla swojej egzystencji. Nie wiem czy można było boleśniej wydrwić naszą dwulicową konwencjonalność moralną i obyczajową; nie wiem, czy istnieje lepsze uosobienie tych sprzeczności nad postać czcigodnego papy Grabskiego. Całe mieszczaństwo współ-



CZESŁAW HALICZ.
(Rozenblattowa).

czesne grzęźnie w tych „obyczajach", a jednakże niema siły wyzwolić się z tych pęt.

Postać bohatera „Sądu" odtworzył znakomicie p. Roland. Dużą niespodziankę zgotował nam p. Staszkowski. Grał maleńką, epizodyczną niemal rólkę barona Demla, lecz zagrał ją tak wspaniale, że nie dziwiliśmy się Jankowi, gdy pozostawił dom rodzinny dla tych obiecanek, któremi go kupił pyszny Demel—Staszkowski. Była bowiem w jego grze mamiącą zwodniczość, gorąco, styl i giest wysubtelnionych Pochroniów.

Przedstawienie „Sądu" uzupełnia jednoaktówka Gorczyńskiego „Sąsiad". Po „Kawiarni" i arcyciekawem „Wyzwaniu" jest to ostatnia praca autora „Nocy lipcowej". „Sąsiad" jest drobiazgiem, który jednak mimo wszystkie usterki mówi, że Gorczyński nieustannie pracuje nad sobą, ciągle pogłębia siebie w ujmowaniu zjawisk życia. Jeszcze przed pięcioma laty nikt nie przypuszczał, że autor „Bagienka" stanie się pisarzem, czerpiącym z refleksji natchnienie dla swoich „wyzywających" sztuk. Współczesność spętana, męcząca, rozkrzyżowana na drzewcu niedomówionych dramatów ma w nim swojego rzecznika.

W „Sąsiedzie" grali pp. Janusz, Paliński i Śliwicki. Tylko Śliwicki zainteresował, a więc... właściwie i uratował sztukę Gorczyńskiego od... niepowodzenia.

E. C

Jubileusz Kamińskiego.

Kamiński jest ulubieńcem publiczności. Lwów, Kraków, Warszawa jednakowo go cenią. Dają te miasta dowody swojej sympatji, gdyż zawsze zapełniają teatr po brzegi, jeżeli tylko afisz zapowiada, że w przedstawieniu bierze udział mistrz Kamiński. Żyje bowiem w naszej pamięci szereg tak bajecznych kreacji, jak Stańczyk, Wielki Fryderyk, Schyllok. Kamiński jako aktor jest unikatem, gdyż jest jedynym niezależnym mistrzem słowa, co nie waha się dla dostojeństwa swojej sztuki poniechać wszystkie uboczne względy. Indywidualność swoją wypowiada tylko na kanwie takich ról, które uzna sam dla siebie za odpowiednie. I dlatego nigdy



KAMIŃSKI.

nie da kreacji bladej, niedorysowanej. Każdy giest, każde załamanie się lub akcent głosu podkreśla charakter postaci, którą tworzy. W stosunku do aktorów, samorzutnie tworzących w moment gry, Kamiński wnosi na scenę celową, przemyślaną interpretację. Młode pokolenie aktorów powinno się od Kamińskiego uczyć pietyzmu i miłości, z jaką wypracowuje swoje arcydzieła sztuki aktorskiej. Kamiński wykreślił ze „szkoły" gry scenicznej, tak zwane dowolności, pokazał, jak wiele na scenie znaczy opracowanie, sumienność, celowość.

W przyszłym tygodniu święcić będziemy jubileusz 25-io letni jego pracy scenicznej. Na swój benefis wybrał Kamiński komedję Shawa „Uczeń Szatana". Kto pamięta interpretację „Djabła" Molnarowskiego, ten zapewne pośpieszy na „Ucznia Szatana", gdyż Kamiński w rolach... demonicznych jest rzeczywistym czarodziejem-demonem.

Nowy biskup krakowski.

Zaledwie zamilkła pieśń pogrzebowa, żegnająca ś. p. kardynała Puzynę, a już poczęto zajmować się nowym następcą biskupiego tronu. Wśród kandydatów posiadających największą szansę, wymieniano ogólnie nazwisko Władysława Bandurskiego biskupa-sufragona lwowskiego.



Ks. BANDURSKI,
Biskup-sufragan lwowski.



Ks. SAPIEHA,
Biskup krakowski.

Bandurski przebywający od lat szeregu w Krakowie, gdzie był duszą społeczeństwa polskiego, niezapomniane po sobie pozostawił imię. Zakład p. Żurowskiej, to jego dzieło; czynem i słowem kołatał — i powstał gmach dla bezdomnych szarych istot, rzuconych w morze rozpaczy i nędzy... Gdy powódź straszna nawiedziła Kraków i okolice dalekie, Bandurski nie zważając na niebezpieczeństwo życia, przeprawia się na brzeg drugi po rozhukanych falach Wisły i tam, wśród wynędzniałych powodzian, rozdaje żywność i krzepi ich słowem pociechy; a kiedy wybuchła rosyjsko-japońska wojna, wydaje odezwę do społeczeństwa polskiego, prosząc o materjalną pomoc dla biednych wdów i sierot... i płyną datki — parękroć sto tysięcy koron zbiera w krótkim czasie i wysyła do Królestwa Polskiego, ocierając niejedną łzę opuszczonym istotom. To jest zaledwie cząstka z dzieł i czynów tego zacnego kapłana.

To też naród pragnął Bandurskiego widzieć na biskupstwie krakowskiem.

Jak grom z jasnego nieba, nadeszły z Wiednia depesze, że Bandurski mianowanym nie będzie na biskupstwo krakowskie... a miały być po temu przeszkodą piękne prace literackie pod tytułem „Za cara" i „Ducha nie gaście". Zaznaczyć dalej wypada, że dziwnym zbiegiem okoliczności, przepadły arkusze z 5.000.000 podpisów rodaków, które miały być przesłane w hołdzie ks. Bandurskiemu.

Na następcę ks. kardynała Puzyny, jak wiadomo, obrano stosunkowo młodego nadwornego sekretarza rzymskiego, ks. Sapiehę. Konsekracji dokonał sam Pius X, na którą zjechało do Rzymu trochę duchowieństwa polskiego, jak również członkowie rodziny nominata i zaprzyjaźnione osoby.

Miejmy nadzieję, że z tak zaszczytnego i odpowiedzialnego stanowiska nowy biskup godnie się wywiąże. *(g.)*

Ś. p. Marja Bukowińska.

Umarła jedna z tych, których cicha zasługa równa się największemu poświęceniu. Popierała bowiem odważnie i z narażeniem wysiłek mężnych i dążących.

Ś. p. Bukowińska była wzorową matką, szczerą, oddaną czującą obywatelką. Tłomaczyła z języków obcych, przyswajała mowie polskiej perły nauki europejskiej. Ostatnio współredagowała z mężem, znanym poetą, Władysławem Bukowińskim miesięcznik literacki „Sfinks". Śmierć jej zaskoczyła wszystkich niespodziewanie... umarła w 38 roku życia, w pełni sił duchowych. Rzucamy na jej mogiłę szczerego żalu kwiaty, żegnamy uczuciami bólu i składamy hołd.



Ś. p. MARJA BUKOWIŃSKA.

Zgon profesora lwowskiego uniwersytetu.

...I znów świeża mogiła. Edmund Biernacki nie żyje. Nieubłagane fatum—śmierć przerwała nagle pasmo twórczej pracy jednostki, która narodowi polskiemu niejedną oddała usługę.

Ur. w r. 1866 w Opocznie, uczęszczał wraz z młodszym bratem, Wiktorem, obecnym profesorem politechniki warszawskiej, do szkół w kieleckiem, dalsze studja odbywał w zagranicznych



Ś. p. EDMUND BIERNACKI.

uniwersytetach. Wydział lekarski ukończył w Warszawie, gdzie otrzymał za jedną z rozpraw medal złoty. Początkowo pracując jako ordynator kliniki uniwersyteckiej w Warszawie, przenosi się Biernacki w r. 1902 do Lwowa na docenturę w uniwersytecie, poczem mianowany zostaje profesorem tegoż uniwersytetu.

Z prac i rozpraw, jakie napisał, szczególnie zasługują na uwagę: „O składzie i zmianach we krwi ludzkiej, w stanach chorobowych“, „Określenie błednicy“, „Chałubiński i obecne zadanie lekarskie“, „Zasady poznania lekarskiego“ i w. in.

Zgon przedwczesny, przerwał w dniu 29 grudnia pasmo życia tego niepospolitych zdolności człowieka, który tyle jeszcze mógłby zdziałać dla nauki i dla społeczeństwa, które gorącem sercem ukochał.

Pamięć o nim nie zaginie!

Koncert kompozytorski Ludomira Różyckiego.

Stanął przed nami artysta niepowszedniej miary, kompozytor zadziwiający siłą wyrazu w swych utworach, mistrz sugestyjnym czarem genjuszu przenikający posłuszną jego rozkazom orkiestrę.

Stanął przed nami artysta nie poprzedzony fanfarą reklamy, stanął kompozytor-polak, stanął odważnie, bo odwagę zaiste mieć musi ten, kto w ojczystym kraju wśród nas skrzydła do lotu rozwija.

Któż z nas nie pamięta chłodu, którym ongi chciano zważyć talent Paderewskiego, któż z nas nie wie ile już płomieni stłumiliśmy w zarodku!

Tak, stanął przed nami artysta nie poprzedzony reklamą, artysta zbyt wielkiej miary by mu o nią chodziło, artysta nie szargający swego talentu wśród brudów protekcji i... Ale dosyć, wystarczało przecież odczuć jego ukochanie sztuki, żeby wiedzieć już, że godności jej strzedz będzie.

Tu i owdzie pojawiły się przed koncertem Różyckiego suche wzmianki, bez zapału i bez szczerego nawoływania, by cała muzykalna Warszawa podążyła na ucztę duchową, jaką nam miał zgotować wielki ten talent.

Cóż z tego, że jedno lub drugie specjalne pismo, nie obliczające swych wzmianek łokciem dawanych uprzednio ogłoszeń, szczerze i uczciwie pragnęło poprzeć artystę... cóż z tego?.. Przed koncertem wogóle obojętność panowała w prasie. Nie tak się przyjmuje kompozytora, który już położył zasługi.

To też świeciła niemal pustkami wielka sala Filharmonji, pustkami, jak zazwyczaj, gdy się wita... rodaka.

W pierwszej części koncertu głębią kompozycji zastanawiał nie przeciętnego słuchacza, przedewszystkiem poemat symfoniczny „Bolesław Śmiały“, a cudne w kompozycji dwa nokturny w inteligientnem i subtelnem wykonaniu p. Ozimińskiego (solo skrzypce) zdobyły wszystkich, wszystkich bez wyjątku. Drugi nokturn bisowano.

W drugiej części wyróżnił się, może łatwiejszy do zrozumienia, taki nasz swojski, pełen rozmachu i siły „Prolog symfoniczny“—polskie serce, tradycja nasza, wizje jakieś, wszystko tam było... Bisowano „Prolog“ i dziękowano gorąco mistrzowi za koncert, który długo nie zatrze się w pamięci słuchaczy.

Dwa laurowe wieńce złożono na pulpicie młodego kompozytora-dyrygienta. *Z.*



LUDOMIR RÓŻYCKI.

Powstanie listopadowe.*)

Autor pierwszej monografji o Mochnackim, wskrzesiciel sławy tego gienjalnego publicysty, krytyka i działacza politycznego daje nam na ten raz książkę bardzo popularną, lecz rzeczową, a więc niezmiernie pożyteczną. Nikt dotychczas nie napisał tak krótkiej historji powstania listopadowego, by równocześnie zadośćuczynić prawdzie historycznej, jak to zrobił pan Śliwiński.

Ośmielam się nawet twierdzić, że nikt dotychczas nie uwypuklił właściwości psychologicznych epoki oraz jednostek tak barwnie i plastycznie, jak to mamy przedstawione w pracy autora naszego. Opisy walk, ważenie się opinji, praca przygotowawcza, podziemna—wszystko to wyczarowuje pióro p. Śliwińskiego w taki kształt konkretny, że widzimy, przeżywamy, stajemy się uczestnikami tych krwa-

*) Artur Śliwiński. Powstanie listopadowe, str. 197. Kraków. Spółka Nakładowa „Książka“.



ARTUR ŚLIWIŃSKI.

wych, smutnych wydarzeń. Opis utarczek pod Olszynką należy bezwątpienia do najklasyczniejszych naszych batalistycznych, literackich utworów. Osiąga w nim autor tych szczytów, na które sława wyniosła Sienkiewicza, jako batalistę-pisarza.

Poszczególne charakterystyki są też arcytrafne, zwarte w swoich zasadniczych psychologicznych konturach. Taki np. Chłopicki. Toż nareszcie pokazał nam Śliwiński dufną duszę tego starca. Rodził się w nim lew, lecz dopiero gdy oko w oko stawał z niebezpieczeństwem. Pozatem decydowały o losach całej wojny ambicje, ambicyjki, chore manje. Skrzynecki, Dembiński czy Krukowiecki powodowali się nie sprawą narodu, lecz egoizmem własnym. Przegrano sprawę, stłumiono huragan, co mógłby stać się życiodajnym żywiołem. Brakło im bowiem wiary w świętość czynu, na który się targnęli.

Śliwiński podkreśla wszędzie ten ważki dla całej sprawy motyw. Tylko szkoła podchorążych wierzyła, lecz gdy oni zeszli na drugi plan, nikogo nie stać było na ten ogień uczucia, coby mógł objąć cały kraj. Może jeden, jedyny Mochnacki oceniał należycie położenie. Głos jego nie zdobył sobie posłuchu, i to jest tak beznadziejnie smutne w tych dziejach powstania listopadowego. Mochnacki jeszcze przed wybuchem chciał stworzyć rząd narodowy, lecz nawet w kołach rewolucyjnych uznano ten projekt za zbyteczny. Dzieje jednak pouczają, że on jedyny był jasnowidzeniem sytuacji...

Książka p. Śliwińskiego jest nader cennym podarunkiem dla młodzieży. Myślę, że i ludzie poważni znajdą w niej wiele ciekawego dla siebie. Pozatem młodzieży należy ją polecać już choćby dla tego, że jest napisana bogatą polszczyzną. Zazwyczaj język naszych prac naukowych jest monotonny, szary. Pan Śliwiński zaś dowiódł, że można po polsku pisać rzeczowo, a jednak artystycznie. I to należy też zapisać jako... wypadek w naszem życiu historyczno-naukowem.

Czytajcie tę książkę i uczcie się kochać — mowę polską.

Czytajcie tę książkę i uczcie się kochać—przeszłość naszą.

Samobòjstwo artystki.

Marja Bułhakówna liczyła zaledwie lat 20. Ojciec jej zajmował poważne stanowisko w jednej z instytucji bankowych. Przed półtora rokiem przybyła z rodzinnego Wilna do Warszawy i publiczność ujrzała ją wtedy poraz pierwszy na scenie Momusa. Po przygotowawczych studjach rozpoczęła karjerę artystyczną w teatrze p. Zalewskiego, a występy jej cieszyły się uznaniem, rokując najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Aż oto zbieg okoliczności zgotował smutną niespodziankę wszystkim szczerym przyjaciołom teatru, gdyż 27 grudnia Marja Bułhakówna - Orczewska wystrzałem z rewolweru pozbawiła się życia. Przyczyna—zawód miłosny. Śmierć jej wywołała w pewnych kołach oburzenie z jednej strony, a z drugiej — żal równocześnie. Walcząc o ideały, nie umiała przeciwstawić się gniotącej prozie zakulisowego życia. Niech jej mogiła otrzeźwi sumienia, wzbudzi głęboki refleks w tych kołach społeczeństwa, które kierują opinją naszą.



Marja Bułhakówna. Zdjęcie fotograf. dokonane na 2 dni przed samobójstwem.



Ślub w więzieniu.

Ślub w więzieniu... brzmi to jakby ustęp z bajki, lecz nie bajka to, a prawda najoczywistsza, prawda, nie jednym faktem lecz w przeciągu paru lat ostatnich kilkoma faktami potwierdzona.

Ostatni z takich ślubów odbył się parę dni temu.

Po mszy w kaplicy więziennej połączyli się węzłem dozgonnym p. Bolesław Zakrzewski, skazany na Sybir za należenie do P. P. S. i p. Wacława Dzikiewiczówna, nauczycielka z Żyrardowa.

Smutny ślub w obecności władz więziennych...



Z TRAGEDJI ŚWIĄTECZNYCH: **Trzy biedne ofiary mimowolnej nieostrożności rodziców.**

Z tragedji świątecznych.

Karygodną zaiste bywa nieraz nieostrożność rodziców.

Smutny wypadek zdarzył się w święta ubiegłe pod Lwowem. Rodzice wyszli rano do kościoła, przedtem napaliwszy w piecu. Widać szyber nie był należycie odsunięty—gdyż czad, wydobywający się, udusił śpiące maleństwa.

Nie okupi winy rozpacz po stracie ukochanych istot—a fakt ten notujemy ku przestrodze rodziców i opiekunów—niech mają zawsze w pamięci obraz tych trojga biednych na wieczność uśpionych dzieciątek.

Kogo bardziej winić?

Barbarzyństwo podczas obecnej wojny włosko-trypolitańskiej —oto objaw, którego nie zdolne są ukrócić prawa, ustanowione przez kongres pokoju.

Postanowieniem kongresu w Hadze, zabroniono używania kul dum-dum, rozpryskujących się przy uderzeniu w kształcie grzy-

Przegląd polityczny.

Niemcy znajdują się obecnie w specjalnem stadjum podniecenia, gdyż zbliżają się wybory. Wszystkie prawie żywioły dążą do obalenia przemocy centrum. Profesor Harnack zaleca nawet sojusz z socjalistami, byle nie dopuścić do wyboru kandydata z czarnej międzynarodówki. Ruch ten jest wysoce znamienny dla wewnętrznej polityki niemieckiej, gdyż wskazuje, że nawet cierpliwym niemcom przejadła się ultramontańska... solidarność.

Dużo się też zajmuje prasa teraz obyczajami panującymi w Dumie. We wszystkich parlamentach zdarzają się różne zajścia wysoce niekulturalne, ale w Petersburgu pod tym względem dzieje się... najlepiej. Takich posiedzeń jeszcze żaden z parlamentów nie przeżywał. Rzucają się gałkami po głowach, wymyślają najordynarniejszemi słowami i... w końcu żądają, by świat cały uznał uchwały ich większości za czyny dojrzałe politycznie i kulturalnie.

Doczekaliśmy się nareszcie pracy nad kanałami galicyjskimi. Tyle lat trwała ta walka! Tyle posłów dopominało się, tyle szacherek wyszło na jaw z tego powodu! Kraj bezwątpienia podniesie się odrazu ekonomicznie. Rozpoczęto budowę kanału w Brzeźnicy. Uroczystość ta zgromadziła wybitnych działaczy galicyjskich, przemawiali: Zaleski, Długosz, Biliński i delegat państwowy Johl.

Handel amerykańsko-rosyjski przeżywa obecnie okres konfliktu. Zatarg ten w każdym razie przyniesie szkody Rosji. Dane statystyczne mówią, że z Ameryki do Rosji wywóz towarów wynosi 79 miljonów rubli, a z Rosji wszystkiego 15 miljonów. Rosja jednak nie może się obyć bez towarów (bawełny) amerykańskich, a więc zatarg sprowadzi podniesienie cen, co niekorzystnie wpłynie na rynki rosyjskie. W zatargu tym najwięcej będzie poszkodowaną ludność uboga, gdyż jest prawie wyłączną konsumentką towarów bawełnianych.

Ciekawe statystyczne, dotyczące uwolnień przedterminowych, podaje jeden z adwokatów warszawskich. Okazuje się, że uwolniono w roku zeszłym z więzień przed terminem 75% skazanych po raz pierwszy za kradzież. Procent ten powinien wiele powiedzieć o humanitaryzmie w stosunku do... złodziei. Nie wysnuwamy z tego żadnych wniosków, choć wiele możnaby powiedzieć, gdyż sprawy intendentury nie są jeszcze załatwione, a senatorzy i sędziowie śledczy pracują w miarę możliwości nad rozwiązaniem tej kwestji.

ba; używane były jednak niedawno przez anglików przy uśmierzaniu powstania hindusów, używane też są nieraz podczas obecnej wojny—przez włochów przeciwko arabom.

Lecz arabów nikt w okrucieństwie nie prześcignie. Niedawno wymordowali oni, w straszny sposób znęcając się, cały oddział włoski czerwonego krzyża. W jednej z oaz znaleziono trupy z pogruchotanymi członkami, pozaszywanemi oczyma, powyrywanymi językami, trupy strasznie okaleczone i zeszpecone do niepoznania.

Czy to był odwet za kule dum-dum, cywilizowanych europejczyków?.. I po czyjej tu stronie większa wina?!



Znalezione w oazie zeszpecone zwłoki sanitarjusza z zaszytemi oczami.

OD REDAKCJI.

W jednym z najbliższych numerów rozpoczynamy druk ciekawego artykułu ELIZY ORZESZKOWEJ „Z DRÓG i LOSÓW MYŚLI POLSKIEJ“.

Od Administracji.

Najbliższe już numery będziemy drukować na lepszym, specjalnie zamówionym papierze, którego na termin fabryka nie dostarczyła.

W celu unormowania nakładu, prosimy o możliwie wczesne zgłaszanie prenumeraty.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie	rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15
Za granicą i za oceanem	„ „ „ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25

Numer pojedyńczy kop. 10.

Prenumeratorowie przybywający później, w razie wyczerpania się pierwszych numerów, otrzymają w osobnych odbitkach początek drukujących się powieści.

Przy wnoszeniu przedpłaty prosimy Sz. Prenumeratorów o zawiadomienie nas czy, ewentualnie, posiadają już początkowe numery.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie Mazowiecka № 5, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.



Wiluś: Znów ci dwaj, bezemnie, biorą się na fest do tej dzierlatki!

„Sąd“ i sędziowie.

Znani nam są dawno
[teatru sędziowie:
Gdy ten mówi biało,
[tamten czarno powie,
Więc o „Sądzie“ mistrze
[„konserwy“ i „frondy“
Rzecz prosta, odmienne
[też wyrzekły sądy:
Jeden mówi świetna
[to sztuka, bez braków,
Drugi, że nie warta
[nawet funta kłaków.
Gdy jednak o „Sądzie“,
[panowie i panie,
Mieć pragniecie własne
[i bezstronne zdanie,
Jest jedyne wyjście —
[warunek konieczny:
Iść na „Sąd“, na własny
[swój ...sąd ostateczny.

Racja.

— Dlaczego Persja po dymisji Szuster-Morgana nie może sobie dobrać skarbnika państwa, czy musi mieć koniecznie amerykanina?

— Naturalnie, ażeby nie mógł z flotą skarbową drapnąć do Ameryki.

Żałobny karnawał.

Gdy w tym roku mamy
[ponury karnawał,
Z wszelkich stron nam spada
[rozlicznych rad nawał:
Jeden każe w smutku
[dać spoczynek nogom,
Inny każe tańczyć
[na złość groźnym bogom...
Nożnemu smutkowi,
[nożnemu weselu
Dajże spokój, bracie...
[jeśliś świadom celu
I uczucia pragniesz
[swe wyrazić zdrowo,
Radzę, czyń to lepiej —
[sercem, albo... głową.

Także radość.

— Zdaje się, że ubiegły rok wcale nie był tak radosny, dlaczego więc przepędziłeś tak hucznie noc sylwestrową?

— Z radości, że ten smutny rok nareszcie się skończył.

Przyczyna.

— W ostatnim czasie październikowcy występują przeciwko „inorodcom“ już zupełnie bez ogródek.

— Z powodu bojkotu bawełny amerykańskiej nie mają swoich frazesów w co obwijać.

Redaktor „Złotego Rogu“ przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do godz. 7 wieczorem.

Redakcja otwarta od godz. 12 do 3 po poł. i od godz. 5 do 7 wieczorem.

Administracja otwarta od godz. 10 rano do godz. 7 wieczorem.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz **Eustachy Czekalski.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.